



Teraz My! 17

3/2003

Pismo promujące twórczość uczniów
XXI Liceum Ogólnokształcącego
im. Hugona Kołłątaja

Witamy naszych nowych czytelników z klas pierwszych i pozdrawiamy starych! Jak zwykle zaczynamy od przypomnienia sukcesów, które odnieśliśmy w poprzednim roku szkolnym i życzymy co najmniej takich samych w nadchodzącym!

- Olimpiada Języka Rosyjskiego
 - Marcin Łapczyński kl.4b — finalista
 - Edyta Sadowska kl. 4b — wyróżniona w II etapie
 - Marcin Kuklewski kl.4b — wyróżniony w II etapie
 - Krzysztof Podwysocki kl.4b — wyróżniony w II etapie
- Konkurs Wiedzy o Krajach Niemieckojęzycznych
 - Katarzyna Stępniaś kl.4e — I miejsce
- I Warszawski Konkurs Debat Oxfordzkich
 - Drużyna z klasy 3f w składzie: Wiktor Halota, Patrycja Janiszewska, Konrad Karolewski, Dominika Ruszkowska, Barbara Szcześniak — II miejsce
 - Drużyna z klasy 3b w składzie: Marcin Bebko, Łukasz Ogonowski, Łukasz Prokop, Adam Werner, Wojciech Wiszniewski — uczestnicy II etapu
- Warszawski Konkurs Wiedzy o Angielskiej Rodzinie Królewskiej
 - Anna Lewandowska kl.1c — III miejsce
- Olimpiada Wiedzy o Społeczeństwie
 - Maciej Styczyński kl.4g — finalista etapu wojewódzkiego
- Olimpiada Artystyczna
 - Helena Wawrzyniak kl.4d — uczestniczka etapu wojewódzkiego
- Olimpiada Literatury i Języka Polskiego
 - Karolina Wełnicka kl.4a — uczestniczka etapu wojewódzkiego
- Ogólnopolski Konkurs Recytatorski — etap dzielnicowy
 - Władysław Niemyski kl.3a — wyróżnienie
- Licealny Konkurs Recytacji Poezji Patriotycznej
 - Władysław Niemyski kl.3a — I miejsce

Teraz My!

Numer siedemnasty, rok trzeci

Opieka dydaktyczna i pedagogiczna:

Grażyna Róziewicz

Opieka edytorska:

Aleksandra Wróblewska

Adres internetowy:

<http://liceum21.ids.waw.pl/gazeta.htm>

W tym numerze

- Zbigniew Łukowski kl.4a — II miejsce
- Natalia Stawicka kl.1a — III miejsce
- Publikacje
 - Artykuł o *Teraz My!* w ogólnopolskim czasopiśmie Cogito — nr 8/2003
 - Opowiadanie Ilony Maciąg z kl.3f *Tyle brudu dookoła* — Cogito nr 8/2003
 - Wiersze Małgorzaty Libman z kl. 4d — Cogito nr 8/2003
 - Tomik wierszy Małgorzaty Libman z kl.4d *Ktoś, kiedyś, po coś*

Gratulujemy!

I przypominamy, że czekamy na Wasze utwory — wiersze, opowiadania, eseje, felietony, rysunki — oraz na nowych współpracowników.

Redakcja

Nie z każdym lubię się bawić

Anna Szczypczyńska, kl. 4c

Lektury. Lektury. Lektury. Nie oszukujmy się — czytają je nieliczni. I zaraz zapominają. To nie one kształtują nasze wyobrażenia o świecie. A co? No chyba najlepiej świadczą o tym badania widowni programów telewizyjnych oraz rosnące nakłady czasopism ilustrowanych.

O właśnie! Te ostatnie!!! To dopiero jest dar nowej rzeczywistości! Nieznane naszym rodzicom, porażająco liczne, i wciąż mnożące się, kolorowe magazyny dziś wielu z nas zastępują wszelkie autorytety. Co tydzień nowe rady na życie!!! Co tydzień cała wiedza życiowa w kapsułce i barwnym opakowaniu! Jaka wiedza? Warto się temu przyjrzeć. Co tam znajdziemy na temat ludzi, ich podejścia do życia, systemu wartości, potrzeb? Rozmaitości. Co strona to ciekawiej!!!

Dla mnie osobiście najbardziej przerażający jest lansowany tu stereotyp kobiety nowoczesnej, niezależnej, bojowej, potrafiącej stawić czoło każdemu problemowi w dowolnej sytuacji czyli jednym słowem — kobiety sukcesu. Obawiam się, że pomysł na umieszczanie w damskich czasopismach artykułów ściśle związanych właśnie z tą tematyką wziął swój początek z ruchów feministycznych. Tego typu przedsięwzięciom wcale się nie sprzeciwiam. Uważam, że to rozsądne, by wszyscy ludzie mieli równe prawa. Jednak to, co się dzieje dzisiaj w czasopismach adresowanych do nas, przerasta moim zdaniem wszelkie wyobrażenia o koniecznych zmianach mentalności współczesnej kobiety.

Najlepszym przykładem jest tutaj według mnie „Cosmopolitan”. Ostatnio, jako mniej istotne prezentowane są tu problemy finansów i awansu zawodowego. Choć oczywiście nadal pojawiają się tytuły typu: „Sceny z życia biurowego — zrób karierę w prawdziwie hollywoodzkim stylu.”, „Za dobra na awans? Przekonaj się, czy warto być najlepszą w firmie”. Wyraźnie jednak widać, że największy nacisk kładzie się na sprawy seksu. Nieustannie wmawia się nam, że w tej dziedzinie powinniśmy dominować nad mężczyzną.

Łóżko prezentowane jest tu jako pole bitwy, na którym należy odnieść miażdżące zwycięstwo nad podstępny i zdecydowany na wszystko przeciwnikiem. W każdym numerze odnajdziemy cały szereg artykułów na temat doskonalenia swoich technicznych umiejętności w tej dziedzinie.

Życzliwi redaktorzy doradzą nam także, jak w najprostszy sposób można odbić chłopaka swojej najbliższej przyjaciółki. W kolejnych numerach zostaniemy namówione na błyskawiczną miłosną przygodę z nieznanym w czasie lunchu, bo — jak nas poinformują dobrze zorientowani „specjaliści” od obyczajów nowoczesnej kobiety — te romanse, które rozwlekają się na całą jedną noc, dawno wyszły już z mody.

Przy okazji wertowania zdjęć kompletnie odrealnionych, dzięki grafice komputerowej modelek, najdzie nas ochota na zrzucenie kilku zbędnych kilogramów, by dumnie dołączyć do grona znerwicowanych anorektyczek i bulimiczek. Mimochodem wpadniemy także na pomysł, by odwiedzić chirurga plastycznego — życzliwi autorzy kolejnych rewelacji poinformują nas, że to zdrowo, przyjemnie i niedrogo.

Zasugerują nam jednocześnie, że prymitywnym odruchem zacofanych gęsi prowincjonalnych jest prostacka niechęć do poprawienia widocznych niedociągnięć Matki Natury. W ostateczności zdesperowane możemy zdecydować się na błyskawiczny zabieg doklejenia sztucznych włosów lub rzęs, bo nic — podobno — nie robi takiego wrażenia na mężczyznach jak dobrze spreparowany chemiczny półprodukt na bazie kobiety. Kiedy już wystarczająco się upiększymy, przyjdzie czas na polowanie na mężczyzn. Lista miejsc, gdzie jakiego znajdziemy, też została umieszczona już nieraz na łamach pisma, żeby ułatwić czytelniczkom bycie modną. Teraz gwóźdź programu: rzucamy się na każdego przystojniaka sprawdzając przy okazji swoją, nabytą dzięki ulubionemu czasopismu, wiedzę w praktyce.

Prawda, że to piękna propozycja sensu życia dla młodej kobiety?! I ja — choć tylko dziwnie pomijane są przekonania, że takie zachowania nie leżą w naszej naturze. Naiwne eksperymentatorki, wychowane przez „specjalistów” z magazynów dla pań, już na własną rękę odkrywać będą cenę, jaką naprawdę zapłacą w życiu za te „dobre rady”. Wyrzuty sumienia, poczucie żalu, brak szacunku dla siebie samej, a nawet wstręt przy każdym spojrzeniu w lustro — to najniższe koszty. Gorzej będzie z tymi, które zamiast zaufać własnemu odruchom wstrętu i wyrzucić do śmieci „ulubione pisemko”, zaczną gwałcić wewnętrznie same siebie i robić wszystko, by stłumić te uczucia. Współczesna rzeczywistość ma nam wiele do zaoferowania — alkohol, narkotyki, leki antydepresyjne. Reklamy tych ostatnich oczywiście też tu znajdziemy. A z łagodniejszych metod podsuną nam wschodnie medytacje, aromatyczne kąpiele lub zakupy na poprawienie nastroju.

Jest wiele sposobów, by uciec od siebie. Ale dokąd?! Owszem, są wśród nas dziewczyny, którym odpowiada taki tryb życia. Jeżeli czują się szczęśliwe, to wspaniale. Należy tylko pamiętać, że mężczyźni — na szczęście — też są różni. Nie każdy ulega chwili i dąży jedynie do zaspokojenia własnych potrzeb fizjologicznych. Tak samo jest z nami. I dlatego najważniejsze jest, by niczego nie robić wbrew sobie, a wszelkie tego typu „nowoczesne” sugestie obyczajowe traktować z dużym przymrużeniem oka.

Kiedy próbuje się rozpoznać wizję świata podsuwaną przez magazyny ilustrowane, te czasopisma stają się naprawdę intrygującą w swej pustce i zabawną propozycją. Ale ja nie z każdym lubię się bawić... A wy?

Ból jest niczym

Krzysztof Dziąg, kl. 3a

Są dwie metody walki ze złem:

- *pierwsza jest prosta i niedobra — przyłączyć się do zła i zacząć działać jego metodami,*
- *druga polega na tym, by poszukiwać w świecie dobrych ludzi i wspierać ich, by trwali przy swoim wyborze.*

Szeherazada „Opowieści z tysiąca i jednej nocy”

Czy zło istnieje? Fakt ten nie wydaje się podlegać żadnym wątpliwościom. Najsilniejszym argumentem jest to, że trudno znaleźć choćby jednego człowieka, który nigdy nie miał z nim styczności. Ale odpowiedź na pytanie — „Czym jest zło?” nie jest już równie oczywista. Jednak według mnie, ważniejsze od znalezienia definicji jest rozwiązanie innego problemu — „Czy zło może być relatywne, czy też dla każdego jest tym samym?”.

Niestety ja tego nie potrafię. Póki co wolę jednak wierzyć, że jest to doświadczenie powszechne. Ufam, że każdy człowiek rodzi się z uniwersalną wrażliwością etyczną, zwaną sumieniem, dzięki czemu instynktownie potrafi odróżnić zło od jego przeciwności. Ludzie posiadają również rozum, który niestety źle użyty może sprawnie ograniczyć znaczenie irracjonalnych, niesprawdzonych domniemywań.

Daleki jestem od uznania tego pomysłu za oryginalny. Wystarczająco dobrze znam historię, by nie wiedzieć, że teoria ta została sformułowana już w piątym wieku przed naszą erą przez bardzo mądrego Ateńczyka — Sokratesa. Niemniej doszedłem do niej także drogą obserwacji i refleksji zanim sięgnąłem po Dialogi Platona. Znalazłem w nich jedynie potwierdzenie własnych wrażeń. Pociesza mnie fakt, iż pewne prawdy, mimo wszystko są niezmiennie i zawsze aktualne. Ważne jest, że nawet człowiek, który wybiera zło jako metodę działania, nigdy nie robi tego w przekonaniu, że tak trzeba. Zawsze raczej chce użyć go do swoich celów — przekonany, że może posłużyć się nim bezkarnie, aby przyspieszyć realizację własnych planów.

Spostrzeżenie to pojawia się, między innymi, w dramacie Zygmunta Krasińskiego pt. „Irydion”:

Ludzie kochają się w złem dla swoich celów tylko, nigdy zaś dla miłości złego.

Jest to według mnie kolejny dowód przemawiający za tym, że człowiek jest istotą z natury dobrą. Niemniej zawsze pozostawiony jest mu wybór, którego skutki wpływają na jego los. W odniesieniu do każdego zagadnienia etycznego mamy z reguły do dyspozycji kilka rozwiązań. Również, określając nasz stosunek do zła możemy zdecydować się na jedną z trzech dróg.

Pierwsze podejście jest następujące — „Zło istnieje i jest częścią tego świata. Nie mogę nic na to poradzić, więc zignoruję je.” W mojej opinii sytuacja, w której można spokojnie przechodzić obok cierpienia innych jest tylko teoretyczna. Prędzej czy później kusiciel zapuka do każdych drzwi i człowiek, który liczył na życie pozbawione prób i trudów, będzie wówczas bardzo zaskoczony i zapewne całkowicie bezbronny.

Drugą drogą jest przyjęcie postanowienia, że ze złem nie będzie się walczyć, przeciwnie będzie się je gorliwie wspierać. Jest to logiczne tylko wtedy, gdy człowiek uprawia wyjątkowo pokretną kazuistykę. Pomysł, iż zło może być źródłem szczęścia, można łatwo odrzucić poprzez wnikliwą

obserwację rzeczywistości. Obserwując rzeczywistość, odnoszę wrażenie, że złoczyńca zawsze ponosi karę za swoje uczynki. Zawsze. Jeszcze tu na ziemi. A zatem ten wybór to droga ku samozagładzie. A przecież nie o nią chodzi wybierającemu. Tylko wręcz przeciwnie — o własne, jak najpełniejsze szczęście.

Zostaje więc ostatnia możliwość — walczyć. To właśnie będzie tematem moich rozważań. Czy każda walka ze złem jest dobra, czy istnieją jej nieprzekraczalne granice? Trudno o lepszy temat do podobnych dywagacji niż utwory polskich poetów doby romantyzmu. Bohater romantyczny nigdy nie ma do dyspozycji prostego rozwiązania jak pokonać zło. Może wybrać sposób nieco łatwiejszy, w obliczu wszechobecnego cierpienia, bardziej logiczny — sięgnąć po siłę płynącą ze spisku i zdrady. Jednak, jako że jest on postacią wybitną — wyjątkowo wrażliwą etycznie, decyzja nigdy nie jest łatwa. Dopóki myśli chłodno, racjonalnie, jest zdecydowany na działanie, nawet wbrew honorowi czy zasadom. Ale kiedy do głosu dochodzą emocje, musi stoczyć z samym sobą najtrudniejszą z możliwych walk. Jej wynik nigdy nie jest z góry określony.

Kordian podczas takiego starcia traci całą wiarę w słuszność dokonanego wyboru, co w efekcie uniemożliwia mu zamordowanie cara. Bynajmniej nie ponosi przez to porażki, gdyż zaczyna myśleć wreszcie nieco szerzej. Widzi, że uczucia i wyobrażenia (Strach i Imaginacja) ustrzegły go przed fatalnym błędem, jakim zamordowanie cara byłoby dla narodu polskiego. Zauważa wreszcie, że występując przeciw cierpieniu rodaków, sam nieomal stał się narzędziem maszyny, która je wywoływała.

Na szczęście Słowacki pokazuje nam bohatera w chwili, gdy dzięki tej przemianie wewnętrznej otwiera się przed nim nowa droga, prowadząca do prawdziwego zwycięstwa. I choć nie wiemy, jak dalej potoczyły się losy Kordiana, bo zamierzona przez Słowackiego trylogia nigdy nie powstała, rozstajemy się z nim pełni nadziei, że jego kolejne wybory życiowe będą dojrzałe etycznie.

Ostateczna potyczka ze złem nie zawsze dla bohatera romantycznego kończyła się sukcesem. Konrad Wallenrod oraz Irydion mimo wewnętrznych wątpliwości dają się zwieść. Wydaje im się, że istnieje podział zła na mniejsze i większe. Sądzą, że sami mogą wybierać jego skalę i określać granice, poza które nigdy się nie posuną.

Tymczasem Mickiewicz i Krasiński pokazują, że zło jest monolitem i zawsze trzeba pamiętać, że jest to również najbardziej doświadczony oszust. Człowiek posługujący się małą niegodziwością, by pokonać większą, sam wchodzi w tryby mechanizmu, którego nie jest w stanie pojąć. Może mu się udać co najwyżej przemienić jedną ziemską manifestację zła w drugą, jednak tak naprawdę nic w ten sposób nie zyskuje, a stracić może naprawdę wiele — spokój wewnętrzny i szczęście wieczne. O takich ludziach czytamy w biblijnej Księdze Mądrości:

[Śmierci] usłuchają, uważając ją za przyjaciółkę, i zawierają z nią przymierze; zasługują bowiem, aby być jej udziałem.

Wallenrodowi udaje się pokonać Zakon Krzyżacki, łamiący wszelkie zasady etyczne chrześcijaństwa. Irydionowi dane jest widzieć przyszłość, jaką sprowadził na przerażające go swym zwyrodniałstwem Imperium rzymskie, w którym znalazła swoje historyczne wcielenie biblijna Sodom i Gomora. Obaj bohaterowie romantyczni osiągają zatem cel, którym było dla nich zniszczenie ziemskiego symbolu zła. Wieczne miasto, trawione

przez pożar własnych grzechów, upada. Tylko jaki to ma sens, skoro niemal natychmiast powstaje nowe u wybrzeży Morza Bałtyckiego? Mickiewicz urywa swoją opowieść o litewskim Mistrzu Zakonnym, zaraz po jego śmierci.

Kraśiński towarzyszy swojemu bohaterowi dłużej. Pokazuje, jak wielką pomyłką była cała jego walka, poświęcenie własnego szczęścia, oraz czi tych, których kochał. Irydionowi wydawało się, że widzi niebo, tymczasem było to tylko jego mętne odbicie w kałuży. Autor pokazuje pełny schemat działania kusiciela, który zawsze kieruje podniesionym mieczem wojownika wybierającego przemoc, ale nigdy nie obraca go w swoją stronę. Co więc jest efektem ich działań? Wydaje się, że jedynie chwilowe ucieszenie. Kruchy stan względnego spokoju, który niebawem zostanie zniszczony przez nową eksplozję zła, próbującego odzyskać stracony czas. Wynik starcia pomiędzy umysłem podpowiadającym, by na zło odpowiadać złem a sercem odczuwającym wstręt do przemocy, może być zatem różny i prowadzić będzie, bądź do wiecznej śmierci zadanej sobie, właściwie własnymi rękoma, bądź do przemiany bohatera.

Samobójcza śmierć Konrada Wallenroda jest tylko symbolem tego, że decydując się jednak wykonać swój plan nienawiści, człowiek podpisuje, niejako na siebie wyrok:

Jak po tych dymach mdlących tak i po was Śladu nie będzie na ziemi ni w niebie.

Dla Konrada nie ma już odwrotu. Pokonując opory wewnętrznych zasad wypalił się, przestał mieć jakikolwiek powód, by żyć. Odniósł zaplanowany sukces, ale brzydzi się sobą. Ważne jest to, że Wallenrod sam nie wierzył, iż może istnieć szczęście i dla niego, że nie zamknął jeszcze ku niemu ostatniej drogi.

Tymczasem zawsze jest nadzieja, chyba że człowiek sam ją sobie odbierze. Jedynie przemiana wewnętrzna wydaje się prowadzić do zwycięstwa prawdziwego i ostatecznego. Powód jest bardzo prosty — takie rozwiązanie oznacza zbawienie. I nie chodzi tu bynajmniej o szczęście jednego człowieka. Należy pamiętać, że postawy jednostek wybitnych są sztandarem dla tłumu i mają moc inspirowania ludzi. Jedno ziarno dobra, wzrósłszy mimo wszelkich przeszkód, daje plon stokrotny.

Postawą, która pozwala definitywnie pokonać zło jest, jakkolwiek może to brzmieć paradoksalnie — przyjęcie go jako części życia ludzkiego, pogodzenie się z wizją życia jako próby. Konrad Wallenrod uważał, że jedynie siła pozwala dokonywać zmian, ale czy udało mu się ocalić samego siebie, mimo że ją zdobył? Historia mówi, że nie. Wiara w to, że można zakończyć cierpienie poprzez zwycięstwo w wojnie, wydaje się być dość naiwną. Mówi się, że wojna zawsze kończy się pokojem, ale cóż to za hipokryzja. Ile w rzeczywistości trwa takie wymuszone porozumienie? Czy jest ono warte kosztów, jakie trzeba ponieść? Człowiek, chyba nigdy nie nauczy się, że nie ma czegoś takiego jak ostateczne uderzenie. Takie poglądy sprawiają, że od dwóch tysięcy lat świat stoi w miejscu — wojny wciąż są jego plagą — mimo buńczucznych zapewnień o rozwoju i postępie społecznym.

W historii cywilizacji wielu było ludzi wierzących, że prawdziwym motorem zmian jest cicha praca nad sobą. Takim właśnie człowiekiem, po wielu trudach staje się Kordian. Bohater stworzony przez Juliusza Słowackiego zauważa wreszcie, że siła nienawiści nie może być narzędziem

konstruktywnym. Zło ma moc niszczenia, nie jest w stanie tworzyć. Logicznym zatem, a zarazem zgodnym z potrzebą serca wyborem, jest dobro, bo pod jego wpływem, niejako same z siebie rozwiązują się wszystkie problemy. Prawdziwą siłę przynosi szczerą wiara w możliwość życia bez stosowania przemocy i manipulowania innymi. Tylko ona ma bowiem moc dawania życia.

Podobne stanowisko zajmuje również Krasiński. Widać to w konstrukcji losów Irydiona, który mimo pewnego niemal potępienia za całą nienawiść, jaką żywił do Rzymian, mimo paktu ze złem, dostaje drugą szansę. Otrzymuje ten dar dzięki wierze Kornelii oraz głębokiej miłości okazywanej cierpiącym. Cel, jaki zostaje postawiony, temu powtórnie narodzone-mu dla świata, właściwie się nie zmienił — nadal chodzi o pokonanie zła. Jednak tym razem Bóg bezpośrednio wskazuje mu drogę, prowadzącą do zwycięstwa:

*Idź zamieszkać wśród braci, których ci dają. Tam powtórna próba twoja,
Po raz drugi miłość twą ujrzyś przebitą, konającą.*

Widać tu najwyraźniej, że droga do przemiany ducha nigdy nie jest przed człowiekiem zamknięta, a właściwą metodą walki ze złem jest nie ścieżka zemsty, lecz „pracy i poświęcenia”.

W ten sposób wyeliminowałem wszystkie zgubne postawy człowieka wobec konfliktu sił zła i dobra. Pozostała jedyna sprawiedliwa metoda walki ze złem — akceptacja własnego cierpienia i świadome, cierpliwe trwanie w tym właściwym postanowieniu. Właściwym, bo daje nadzieję i nie zamienia niczyjego życia w koszmar.

Jest to rozwiązanie tylko z pozoru nielogiczne. Naprawdę dla mnie — człowieka siedemnastoletniego — dziwne jest to, że ludzie zawsze czują głęboką awersję wobec przedsięwzięć słusznych, chociaż bezsprzecznie najtrudniejszych. Dlaczego człowiek woli drogę prostą, lecz prowadzącą donikąd, niż szlak tajemniczy, nieprzetarty, ale wiodący bezbłędnie do celu? Choć zabrzmi to być może patetycznie, wiem z własnego doświadczenia, że ból jest niczym w porównaniu z radością płynącą z godnego jego przezwyciężenia.

Korespondencja z Pekinu

Piotr Karpiński, kl. 4c

1 października

Kochani, Szanghaj jest fascynującym miastem. Paryż, Londyn, Nowy Jork, Szanghaj — wymieniłbym jednym tchem, na razie nie wiem czy coś więcej... Ile życia, ile kolorów... Miasto jest rzeczywiście bardzo nowoczesne. Są tu pięciopoziomowe estakady, potężne niebotyki, a co więcej z Jinmao Tower trzeciego budynku na świecie, z poziomu 350 metrów, gdzie znajduje się taras widokowy widziałem dziesiątki fundamentów, z których w ciągu kilku MIESIĘCY wystrzelą kolejne olbrzymy. Miasto położone jest nad rzeką i co ważne skierowane jest ku rzece.

Co najbardziej zaskakujące, hipernowoczesność, której nie ma w takiej ilości w Paryżach i Londynach, miesza się nieoczekiwanie z bardzo klimatyczną architekturą dwu-trzypiętrowych dzielnic sprzed wojnia. Nie

chodzi tu o reprezentacyjny BUND kojarzący mi się trochę z Gotham City, ale właśnie o te gęsto zabudowane osiedla, które zatopione wśród ładnych drzew od ulicy wyglądają, tak jak wyobrażałbym sobie pokolonialną Martynikę swej niezamówionej części. Od podwórzy, czy też raczej — wąskich przejść — nabiera to już bardziej charakteru azjatyckiego. Tutaj życie już nie jest takie urocze jak od fasady. Widać, wszystko to, czego tym ludziom brakuje. Jednak dla kilkudniowego turysty nie zmuszonego do zastanowienia się nad warunkami ich życia, nad tym, czy mają wodę i światło, czy choćby dostęp do słońca, również ta część miasta musi się wydać fascynująca. Tym bardziej, że nie czuje się tu atmosfery nędzy — ot duża część Chin żyje właśnie w ten sposób. Zresztą „podwórkowe” życie Chińczyków, czy to w Pekinie, czy w Szanghaju skrajnie różne jest od bytowania warszawskich osiedli. To też musi przyciągać.

Najdziwniejsza jest przy tych kontrastach fotka, gdzie spośród niskich pobrytyjskich w stylu osiedli, wyrasta 40-piętrowy apartamentowiec. Jest to na pewno najczęściej wykonywana i najłatwiejsza do zrobienia fotografia turystyczna. Tymczasem miasto ma bardzo ludzką skalę. Estakady są umieszczone tak wysoko, że u ich podnóża wiedzie się normalne życie, problem hałasu i ruchu ulicznego pozostawiając tym na 15 piętrach. Pomimo, że miasto jest dużo bogatsze od Pekinu, tutaj duuuuużo łąząc i jeżdżąc nie widziałem korków — codzienności Pekinu (pomimo jego czterech gotowych obwodnic i piątej na ukończeniu).

Mówi się, że tu nie ma wiele do zwiedzania. Zabytki Pekinu są schowane za takimi murami, że bez biletu niemal niczego się nie dostrzeże. Natomiast codzienne mijanie ciągnących się kilometrami murów nowego (Zhongnanhai) i starego Zakazanego Miasta może wyłącznie przygnębiać. Myślę, że tu jest po prostu bardzo ciekawie mieszkać, wielki koloryt i zróżnicowanie, możliwość kilkugodzinnego spaceru wśród zmieniającej się architektury są dla miast wartościami nieprzekładalnymi na liczbę zabytków. Bardzo mnie ucieszył Szanghaj. Bardzo zaskoczył. Tutaj też się potężnie burzy. Zważywszy, że wszystko, co w tym mieście nowe, ma nie więcej niż 10 lat, można szacować, że za kolejne dziesięć miasto w swojej większości będzie już wyłącznie Manhattanem Dalekiego Wschodu. Są jednak części, które to przetrwają, widać, że cieszą się sympatią szanghajskich bonzów i miasto wciąż będzie miało miejsca na ciekawe spaceru... W Szanghaju spędziłem 1 października — święto narodowe. Słów mi brak. Wyglądało to tak jak Nowy Rok.

Ludzi... , albo i więcej. Co dziwne i czego się nie da opisać, niemal wszyscy z dmuchanymi pałami, młotkami, maczugami, pokemonami. Zobaczyć znaczy uwierzyć. Będą zdjęcia. Wszystko to zrobiło na mnie wielkie wrażenie pomieszania pojęć. Im większy bank, bardziej luksusowy hotel, lub pole golfowe w centrum miasta, tym większe napisy sławiące rewolucję i rzecz jasna „postęp”. To słowo wyparło z tutejszego słownika „równość”. Bez zająknięcia tysiące Chińczyków przechodzą u stóp takich katedr globalizacji, zadowolone z dowodów rozwoju, w którym nie biorą udziału. Gołym okiem można rozróżnić pielgrzymów z Henanu, Anhuai’u czy bardziej z głębi kraju, dla których Szanghaj jest jeszcze większym Disneylandem niż dla waszego warszawiaka. Niesamowite. To tak, jakby Castro grał w golfa, szykując przemówienie na 5-godzinny wiec na temat zwiększenia produkcji trzciny cukrowej. Co gorsza, to chyba nie jest cynizm. Oni nie widzą w tym nic fałszywego, że większość z nich — mimo tego, co uważają za postęp — nie ma dostępu do tych dóbr. Nie widzą —

przynajmniej tak się wydaje w tym momencie — kiedy w masie widocznej z odległości 350 metrów, z drugiego brzegu szerokiej rzeki, paradują niemiłosiernie ściśnięci w tłumie i wiwatują na cześć swojej imponującej ojczyzny. Jest to rzecz do zbadania. Dziw.

Pogoda jest piękna, chciałoby się rzecz, że czuć bryzę od morza. Jutro powinienem ruszyć gdzieś w okolicę. Bądźcie zdrowi.

4 października

Jestem w Nankinie. Przyjechaliśmy tu z Maćkiem, u którego byłem w Szanghaju, a który jest dziś chorusieńki i zatrzymaliśmy się u koleżanki Łukasza, która mieszka w tym samym akademiku co Filip. Śpimy we trzech na podłodze, na karimatach — gratis. Warunki mają tu niezłe i baaaardzo ładny kampus uniwersytecki. Miasto wydaje się być sympatyczne, położone jest na pagórkach oraz nad rzeką Jangcy, która ma tu ponoć kilka kilometrów szerokości, razem z 7 mln ludzi. Wieżowców jest chyba z 5 razy więcej niż w Warszawie. Ale dokładnie tak samo strasznie porozrzucane. I chyba nie ma tu wyraźnego centrum, przy ulicach są ładne drzewa, czasem palmy. Jest strasznie gorąco i wilgotno. W końcu Nankin jest nazywany jednym z trzech pieców Chin.

To prawda, jest październik, a klimatyzacja wydaje się być nieodzowna. Zresztą również w Szanghaju było przez ostatnie dni bardzo gorąco. Za gorąco — za wilgotno. Jak jest w Warszawie? Po Szanghaju bardzo dużo łąziłem, obejrzałem różne dzielnice i tylko żałuję, że nie udało mi się pójść do tutejszego muzeum. Następnym razem. Wczoraj po drodze do Nankinu pojechaliśmy do Suzhou — takiej chińskiej stolicy sztuki ogrodowej i wytwarzania jedwabiu. Tak sobie. Dziś i jutro będę oglądał Nankin. Miasto ma w sobie coś z historii Warszawy. Podczas wojny z Japonią, najeżdźcy w sposób okrutny wymordowali 300 tys. ludzi. Prawie jak w Powstaniu. Więcej już poopowiadam z Pekinu. A w ogóle to chciałbym, żebyście wzięli atlas i zobaczyli, gdzie jestem. Pekin, Szanghaj, Suzhou, Nankin.

10 października

Pogodę mam taką, jak wy w Warszawie. Ba, nawet coś więcej, od ranusia miasto spowite mgłą. Smog przykrył całe miasto, widzialność na dwadzieścia metrów. Co tu się będzie działo, jak przyjdą wiatry znad pustyni...

Odetchnąłem już po podróży. Wróciłem z kilkoma mocnymi wrażeniami, spośród których najważniejsze brzmi — jak piękna jest ta nasza Europa. Przecież Pekin od Szanghaju dzieli półtora tysiąca kilometrów, na tym odcinku powiedzmy między Paryżem a Neapolem, lub Sewillą a Budapesztem człowiek mógłby zachłysnąć się wielkimi zabytkami architektury i sztuki. Tutaj, cierpliwie należy PO-DRÓ-ŻO-WAĆ.

Za oknem niska zabudowa typu geesowskiego, a to co najciekawsze to ludzie. Ludzie obok jedzą rzeczy, na które ja nie mam siły patrzeć, plują, żują i próbują popalać tam, gdzie nie wolno. Wszyscy bardzo dla siebie przyjaźni — przynajmniej w klasie, którą się podróżuje, bynajmniej nie z nadmiaru pieniędzy. Chiny południowe (na południe od Jangcy) różnią się znacznie od Chin północnych. Ludzie nie mają już tak wyraźnych kości policzkowych i mongoloidalnych rysów twarzy, wydają się być ładniejsi, tacy „tajscy”. W Szanghaju i Nankinie przy ulicach są drzewa, czasem

w wąskich uliczkach całkiem zagradzające swoimi koronami dostęp do nieba. To są takie Chiny, jakie sobie wyobrażałem. W Pekinie na razie przychodzi mi rozcierać smog w drodze na zajęcia.

Uczę się wyłącznie chińskiego. Są cztery przedmioty: mówienie, język prasowy, praca z materiałami wizualnymi i coś łączącego w sobie wszystkie te przedmioty. Prowadzenie znacznie gorsze niż u pani Tao. Niemniej uniwersytet prestiżowy i wszyscy kiwają głowami z szacunkiem i zazdrością. Przed chwilą zadzwonił do mnie Chińczyk, z którym się umówiłem na niedzielę, a z którym będziemy sobie konwersować na zasadach wymiany. Ja oferuję francuski. Piszę małymi literkami, bo mi głupio przed mamą. Wiem, Mamo, co sądzisz o mojej francuszczyźnie! Ale jak się pchają, to co mi tam. . .

W Nankinie, zaledwie dwadzieścia godzin pociągiem od przejmującego pekińskiego +10 (nawet nie wiecie, jak bardzo może to być zimne), widziałem las, który oddycha wilgocią. Prawdziwy tropik. Roślinność parowała na moich oczach, a ja obserwując to z 8-piętrowej pagody czułem, jak bardzo daleko jestem od rodzinnego domu.

U mnie nadal wszystko w porządku. Zdaje się, że nie ma u nas przerwy świątecznej, zaś egzaminy semestralne będą na początku stycznia. Skoro tak, to mógłbym przyjechać dopiero w połowie miesiąca. Zobaczymy. Będę się teraz starał dowiedzieć o możliwość praktyki w ambasadzie. Dziwnie czuję, że mógłbym lepiej wykorzystywać ten czas. Możliwe, że dostanę godzinkę lub dwie w eksperymentalnej podstawówce przy naszym uniwersytecie, gdzie miałbym dzieciom wymyślać angielskojęzyczne zabawy ruchowo-jakieś tam. Byłoby strasznie fajnie. Aha, tutaj klasy mają po 50 osób.

Autor ukończył „Kołłataja” w roku 1997. Następnie ukończył Wydział Stosunków Międzynarodowych na Uniwersytecie Warszawskim, obecnie studiuje sinologię.

Myśli wybitnych ludzi

Jerzy Pomorski

*Wykład inauguracyjny wygłoszony przez profesora Jerzego Pomorskiego
1 września 2003*

W czwartym wieku przed naszą erą miała miejsce rozmowa między dwoma ludźmi. Jednym z nich był Euklides, genialny matematyk grecki, który w swym dziele pod tytułem „Stoichea” (elementy) podał pierwszy system aksjomatyczny w dziejach ludzkości. Był to system dla geometrii. Dzieło to stanowiło sumę ówczesnej wiedzy matematycznej.

Drugi rozmówca to egipski faraon, Ptolemeusz I Soter — jeden z wodzów armii Aleksandra Macedońskiego, którego ten osadził na tronie egipskim. Ów faraon był wielbicielem nauki i gdy tylko dowiedział się, że Euklides napisał swoje dzieło, zaczął je czytać. Kiedy spotkali się, rozczarowany trudnościami lektury Ptolemeusz zapytał Euklidesa czy matematyki nie można ująć prościej i wtedy uzyskał odpowiedź: „Panie, w matematyce nie ma specjalnej drogi dla królów”.

Inny geniusz — Albert Einstein powiedział o sobie: „Ja mam tylko upór muła i trochę węchu”. Z tych dwóch wypowiedzi wynika, że aby cokolwiek osiągnąć, trzeba sporego trudu.

* * *

Wielki filozof Sokrates stwierdził: „Wiem, że nic nie wiem”.

Jak to możliwe, że ktoś tak wybitny mówił o sobie coś takiego? Czyżby przyznawał się do skrajnej ignorancji? Oczywiście nie. Sokrates chciał dać do zrozumienia ludziom to, iż świat kryje w sobie tyle tajemnic, że nawet najwybitniejsi ludzie ogarniają jedynie mikroskopijną ich część.

Izaak Newton — twórca teorii ciężenia, rachunku różniczkowego, podstaw mechaniki — chciał wyrazić to samo mówiąc o swoim życiowym dorobku: „Byłem jak mały chłopiec, który na brzegu morza znalazł kilka oszlifowanych kamyczków, podczas gdy przede mną rozpościerał się cały ocean prawdy”.

* * *

Znakomity przyrodnik Konrad Lorentz powiedział: „W człowieku jest cała bestia, ale nie tylko”. To znaczy, że ewolucja zapisała w nas ślady wszystkich mechanizmów, w które wyposażała inne istoty żywe, ale dała nam jeszcze coś więcej.

Co to jest? To wyjątkowa zdolność myślenia abstrakcyjnego. Szympansy, których genotyp jest prawie taki sam jak nasz, potrafią dodawać co najwyżej liczby jednocyfrowe. A my możemy skonstruować statek kosmiczny, który wyląduje na Marsie. Do tego są potrzebne obliczenia z dokładnością do kilkudziesięciu miejsc po przecinku! Żadna istota na Ziemi, poza człowiekiem, nie dysponuje taką wyobraźnią.

* * *

Arystoteles — wielki uczeń Platona, który podobno na dyskusjach ze swym mistrzem spędził kilkadziesiąt lat, stwierdził: „Mądrość jest wartością samą w sobie, nawet gdy nie przynosi bieżących, wymiernych korzyści”. Powiedział to jeden z największych mędrców ludzkości, który spędził na badaniu prawdy całe życie.

A zatem warto się uczyć, choćby i nie było bliskiej perspektywy, uzyskania czegoś opłacalnego w zamian! Może warto przyjąć ten punkt widzenia w nadchodzącym roku szkolnym?

* * *

XVII-wieczny fizyk, matematyk, myśliciel — Blaise Pascal żył tylko 38 lat i przez większość swojego życia był ciężko chory. Ale lista jego osiągnięć jest imponująca. Tymczasem on sam powiedział: „Dlaczego mówisz o wynikach twojej pracy, że to twoje myśli i osiągnięcia? Tak naprawdę większość z nich nie należy do ciebie, lecz do mędrców przeszłości.”

Wspomniany już Izaak Newton stwierdził: „Widziałem dalej, bo stałem na barkach olbrzymów”. O kim mówił Newton? Kim byli ci olbrzymi? Chodzi o Mikołaja Kopernika i Johanesa Keplera. Newton wypowiadając powyższe słowa, złożył hołd mędrcom przeszłości. Uznał, że bez ich osiągnięć jego odkrycia nie byłyby możliwe. Odkrycie przez Keplera prawa stałości prędkości połowej planet wymagało tytanicznej pracy — ogromnej liczby obserwacji i wielkiej liczby obliczeń.

Kepler poświęcił temu większość swego życia. Pascal i Newton da-

li nam do zrozumienia, że wszyscy potrzebujemy nauczycieli. Nawet — a może — zwłaszcza — ci z nas, którzy są najzdolniejsi. Nauczycielami są nasi rodzice, autorzy książek, które czytamy, nauczyciele w szkołach i inni.

Wielka jest liczba naszych nauczycieli. Czy okażemy się dość wybitni, by ich dostrzec? By skorzystać z tego, co chcą nam ofiarować?

Uczeni

Dagmara Przegrodzka, kl. 1f

Widzę portret Einsteina z rozwianymi włosami
Zawsze myślałam: „Tak powinien wyglądać Geniusz XX wieku.”
Brak zainteresowania dla spraw przyziemnych
Zachwył dla rzeczy niemożliwych
Marynarka pognieciona i wytarta
Skarpetki — każda inna (o ile w ogóle były)
Człowiek genialny, inny niż wszyscy
(Kto odziedziczył jego gabinet?)

Następny z wielkich — Dimitrij Mendelejew
Z portretu spogląda lekko roztargnionym wzrokiem.
Zawsze skromny, ponoć doradzał bycie skromnym
Pyszny chemikom.

Jak trudno było Skłodowskiej-Curie pracować
W zwykłej szopie po Bequerelu!
Pamiętam tę zamyśloną, poważną twarz
na okładce podręcznika do chemii.
Zawsze nosiła sukienki z gładko położonym kołnierzykiem,
Niezbyt strojne - jak na uczoną przystało.

Ten świat, ich świat, przyciąga mnie i nęci.
Sprawia, że coraz bardziej chcę do niego wkroczyć.
I za lat kilkadziesiąt spoglądać
Zamyślonym wzrokiem
Ze ściany chemicznej pracowni.